

Artur Grabowski – Dziecko i demony

Teatrologia.pl, 16 listopada 2023

Link: <https://teatrologia.pl/recenzje/artur-grabowski-dziecko-i-demony/>

Zrobić horror na scenie? I to w dodatku otwarcie szatański albo tylko satanistyczny? Zaiste diablo trudna sztuka! Ryzyko, że autorzy takiego pomysłu popadną w kicz, że wywrócą się na tandetnej podróbce popularnego filmu, jest ogromne. A jednak zespołowi z piwnicy na krakowskim Kazimierzu znowu udało się przekroczyć ramy gatunków i konwencji. Powstał spektakl mądry, angażujący emocje i zmysły, doskonale skomponowany dramatycznie.

Historia zaczerpnięta ze sławnego thrillera Romana Polańskiego o kobiecie, która ma urodzić Antychrysta, jest tu raczej tłem niż kanwą scenariusza, którego autor (Grzegorz Like) umiejętnie gra na naszej pamięci o filmie, ale też na podświadomych lękach, jakie utrwaliły się w nas za sprawą niezliczonych medialnych doniesień o działalności satanistycznych sekt. Pomysł nader trafny w swojej prostocie, bo właśnie niejasność informacji, niepewność w ich ocenie i wyparcie głęboko zakorzenionych lęków tworzy podłoże mitu, który mimowolnie włada naszymi wyobrażeniami o świecie. Wedle sprawdzonej Arystotelesowskiej recepty mit dominuje tu nad charakterami, tworzy fatalistyczne koryto dla strumienia wydarzeń, zarazem banalnych i niezwykłych. I nic to, że jesteśmy racjonalni i sceptyczni, że wierzymy we własną niewiarę w jakiegokolwiek paranormalne zjawiska. Wyraźnie wyczuwalny fundament mitu powoduje, że czujemy się złapani w pułapkę dramaturgii, która potencjalnie czyha na każdego. Więcej nawet wygląda na to, że im bardziej zwyczajną prowadzimy egzystencję, tym bardziej narażeni jesteśmy na nieuwagę, która może mieć fatalne skutki. Najpewniej przecież przestraszymy się wtedy, kiedy pozornie nic nam nie zagraża, a otoczenie wydaje się przyjazne. Wówczas drobne pęknięcie w pokrywie rutyny skutkuje paniką, że zaraz rozpadnie się nasza mała stabilizacja. Chodzi nie tylko o utratę komfortu, chodzi o instynktowne pragnienie posiadania punktów oparcia. A tak właśnie dzieje się w świecie pozbawionym ładu, w przestrzeni doraźnej umowy społecznej. Kiedy konstrukcję naszych interpretacji ustalimy arbitralnie, to będzie ona zaledwie chwilowa i relatywna, więc prędzej czy później ujawni swoją nietrwałość. Ale przecież umowa to umowa, prawo i obyczaje gwarantuje nam nowoczesna cywilizacja. Czego tu się bać? No, czego? Pytanie, pozostając bez odpowiedzi, potwierdza swoją zasadność. I tak niezdolność rozpoznania źródła lęków przekształca się w motor napędowy strachu. Jesteśmy zakłamanymi, bo jesteśmy załęcznieni? Boimy się tego, co nie mieści się w głowie, bo nasza głowa oddzieliła się od ciała, a nasz poukładany rozsądek odciął nas od

zakorzenionych intuicji. Lęk rodzi się w nas z ciemnego wnętrza, wydobywa się z drżących trzewi i z napiętych mięśni, bo to tej właśnie części siebie nie umiemy opanować umysłem. Umysł zaś, logicznym trybem pracujący, zwykliśmy uznawać za przewodnika. Kiedy ten zawodzi, kiedy władzę nad rozumnym przejmuje niezrozumiałe, budzą się demony.

Konwencja horroru opiera się na tej samej zasadzie, co konwencja... komedii. Zostajemy wytrąceni z „normalności”, czyli z ustalonej i bezkrytycznie przyjętej, więc bezpiecznie przewidywalnej wizji świata. Nagle coś idzie nie tak jak zwykle, ludzie zachowują się dziwnie, materia i psychika zdają się podążać w nieoczekiwanych kierunkach. Analiza i dedukcja nie mogą poradzić sobie z emocjami, reagujemy przeto desperacką próbą rozładowania napięcia – śmiechem lub lękiem. To właśnie dlatego między straszaniem a rozśmieszaniem granica jest cienka i łatwo przekroczyć ją mimowolnie. Często bywa, że horrory śmieszą nas swoją naiwnością, ale bywa również, że śmiech nasz własny brzmi nam w uszach demonicznie... Spektakl zaczyna się zatem zabawnie, niemal od obyczajowej farsy. Oto małżeństwo intelektualistów (on popularny pisarz, ona jego dawna profesorka z uniwersytetu) wprowadza się do nowego domu na luksusowym przedmieściu. Wcześniej widzimy kobietę w średnim wieku leżącą na łóżku i narzekającą na bóle brzucha tudzież niejasne dolegliwości psychiczne; nawiedzają ją myśli o śmierci. Po chwili pojawia się mężczyzna o wyglądzie świeżo upieczonego magistra i obdarzony narcystyczną nerwicą, typową (jak zaraz się dowiemy) dla pisarza w kryzysie twórczym.

Napięcie między małżonkami od razu daje się zauważyć, ale oboje starają się usilnie podtrzymać dobre relacje. Nie wiedzą, że dręczy ich wzajemna obcość, dwubiegunowa separacja. Brak wspólnego przedmiotu troski staje się przyczyną samotności, a ta osłabia. W miejscu „nic” zagnieżdża się destrukcja. Jakiś rodzaj bliskości staje się nagłą potrzebą. Ale jak ją zaspokoić? W ramach wizyty zapoznawczej mają do nich wpaść sąsiedzi, co nie w smak jest kobiecie, a na czym nie wiedzieć czemu zależy mężczyźnie. Ten pierwszy lęk i ta pierwsza obsesja ustawiają atmosferę, która utrzyma się do końca spektaklu. W tym kontekście wizyta sąsiadów, będących jakby odwrotnością wstępnie poznanej pary – on podtatusiały prymitywny biznesmen, ona niedojrzała i nawiedzona ezoteryczną duchowością – jawi się jako nagłe wtargnięcie czegoś niechcianego, z rozrywki przekształca się w zagrożenie.

Napięcie już tylko rośnie.

Prostackie poczucie humoru gościa i natręctwo jego małżonki w pierwszej chwili krępują gospodarzy. Jednak po serii niezręcznych starć młody pisarz zdaje się dziwnie ulegać

brutalności starszego o pokolenie faceta, zaś będąca w ciąży Rosemary, chociaż zrazu z trudem znosi głupiutką dziewczynę, stopniowo zaczyna poddawać się jej fałszywej opiekuńczości.

Już na poziomie komediowym wyczuwamy niepokój, dosłownie boimy się, co też zgotują wrażliwej parze ich obcesowi sąsiedzi. Ogromna w tym zasługa aktorów, którzy udatnie balansują na granicy zaangażowania emocjonalnego i ledwie wyczuwalnej autoironii, a zarazem wyrazistej ekspresji cielesnej. To znak firmowy tego zespołu, godny podziwu, bo wyjątkowy na polskich scenach mariaż klasycznej szkoły psychologicznego realizmu i fizycznej ekspresji rodem z offu. Ciągłe przekraczanie granicy rozdzielającej to, co psychologicznie wiarygodne, od tego, co fizycznie przekonujące, decyduje ostatecznie o tym, że przedstawienie trzyma się dramatycznego tematu i nie wylewa się poza granice teatralnej – jednak – konwencji ani na stronę banału, ani na stronę kpiny, ani nawet na terytorium obyczajowo-politycznej prowokacji. To ostatecznie mogłoby się bowiem zdarzyć, gdybyśmy odczytali dramat jako manifest – pro lub anty – aborcyjny.

Głosy z oddali, zamaskowani muzycy grający na żywo, znakomite rozegranie małej przestrzeni na odrębne pola gry; wszystko to konsekwentnie przygotowuje wejście kolejnego gracza – kusiciela, szantażysty i dyktatora. Kacper Kujawa właściwie nie musi się wysilać, jego zimne, niemal cyniczne oblicze, jego chuda sylwetka i blada skóra wystarczają, żebyśmy nie mieli wątpliwości, z kim mamy do czynienia. Chociaż, oczywiście, niczego nie mówi się tutaj wprost. A mówi się przecież dziwacznie... W realistyczną konwersację i afektywne wykrzykniki wplata autor niepokojące w treści i kiczowate w formie teksty z ezoterycznych mędrców, z satanistycznych manifestów, a w końcu umiejętnie dobrane cytaty z... Biblii. I zaiste znakomicie udaje mu się to wszystko połączyć, bo kiedy tylko zaczynamy podejrzewać fałsz w nadmiernie metaforycznych wyznaniach, natychmiast zmienia się tonacja i już wracamy na grunt rozsądku i sceptycyzmu. Monika Kufel, Michał Badeński, Sebastian Oberc, Aniela Płudowska tworzą zgrany kwartet, precyzyjnie trzymając się świetnie wyznaczonych im przez Michała Nowickiego komplementarnych stanowisk. I chociaż to Rosemary jest tu przedmiotem rozgrywki, a właściwie jej dziecko, to przecież każda z postaci gra również we własnym dramacie. Wszyscy są uwikłani, nie wiadomo, kto jest ofiarą, a kto kolaborantem demonicznej władzy.

Jedni namawiają do urodzenia dziecka, żeby je uśmiercić, drudzy chcą je zabić, żeby je uratować z rąk oprawców. W świecie wartości umownych nie ma rozstrzygnięć, więc nie ma ratunku, jest tylko cierpienie. Nie mamy nawet pewności, czy w okolicy faktycznie grasuje sekta psychopatów, czy może to tylko wewnętrzne obsesje każdego i każdej oraz wzajemne

napięcia egoizmów w parach i w kwartecie spowodowały cierpienie Róży-Marii; błogosławionej lub przeklętej, która ma urodzić lub nie urodzić syna – Człowieka lub Bestię. Metafora religijna albo tylko filozoficzne pytanie wyłania się nienatrętnie, ale i nieodparcie. A całkiem świecki problem ciąży – upragnionej i niechcianej jednocześnie – nabiera w tym symbolicznym kontekście należytej powagi.

Otóż właśnie – kontekst. Ramą jest tutaj, jak w większości produkcji Teatru Barakha, muzyka. Prosta, ale psychodelicznie skuteczna, wtrąca się w emocje aktorów, niejako towarzysząc im z innego świata. Ciasna salka wypełnia się dźwiękiem, tworząc pudło rezonansowe, które spaja ludzkie głosy w jednolitą masę, a one próbują się z niej wydostać na wolność. Brutalne obrazy mordowanego dziecka i drastyczna scena porodu jako rzezi wyświetlają się na ekranie (Michał Nowicki, Piotr Koźmiński), który jest odwróconym malowidłem, a więc jednak dziełem sztuki. Precyzyjna, skupiona na materii ludzkiego korpusu choreografia (Martyna Dyląg), wykonywana w spowolnionym tempie daje efekt bezpośredniego wręcz kontaktu z ciałem już nie tylko performerów, ale z ciałem własnym, doświadczanym w empatycznym odzwierciedleniu. Znakomita jest scena „tańca pleców”, podczas której obserwujemy ruch mięśni i kości pod skórą...

No, czyją, jeżeli nie demona, który jest samą materią? Do tego blade, ostre światło i błyszczące kostiumy (Monika Kufel), fosforyzujące napisy i mrugające drażniąco punktowce. Ze sterylne urządzonego mieszczańskiego salonu, przez umysł nawiedzony obsesjami pochodzącymi z niewiadomego źródła, przez ciało poddane instynktom wydobywającym się z mięsa, zostajemy wprowadzeni do piekła... Ale co dzisiaj znaczy to staromodne słowo, jeżeli nie znaczy tego, co znaczyło na początku?

Wróćmy zatem do początku tej historii. Czego brakuje dwóm bezdzielnym parom? Tej, która nie chce mieć dziecka, ale może, i tej, która chce, ale nie może? Tej, która dostaje dar, lecz go odrzuca, gdzie indziej widząc własną korzyść, i tej, która pała żądzą posiadania, również dla własnej korzyści? Her-storia Rosemary nie jest historią jej dziecka i nie jest historią dziecka szatańskiego. Bo ta opowieść nie jest o dziecku. Nie jest opowiadaniem o kimś – jest przerażającym obrazem odczłowieczonego świata, w którym instynkty i ciała, żądze i lęki, puste obrazy i oślepiające światła grają w teatrze śmierci. Zaiste świetny to spektakl – kuszący, przekonujący, wciągający...